

Węglarze

31 października 2015

Był czas, że węgiel stanowił podstawowy materiał opałowy. Nie tylko domki jednorodzinne i stare kamienice wyposażone były w piece opalane węglem. Nowo budowane bloki w latach pięćdziesiątych, a nawet później, choć posiadały już centralne ogrzewanie, to kuchnie, na których gotowano, w większości były na węgiel.

W Ursusie skład opałowy znajdował się, jak w każdym innym mieście, przy torach kolejowych. To był duży plac wielkości boiska sportowego. Stanowił szeroką i głęboką nieckę, ogrodzoną drewnianym parkanem. Zza płotu dochodziło przez cały dzień szuranie łopat, przytłumiony odgłos sypiącego się węgla, przekleństwa furmanów i rzenie koni. Wozacy mijając bramę wjeżdżali swoimi furmankami w głęboką dolinę i zza ogrodzenia tylko po beretach woźniców można było określić pozycję każdego zaprzęgu. Plac nie miał od początku utwardzonego podłoża i węglarze wraz z brykietami, grysikiem i koksem wywieźli i sprzedali czarną od miazgi ziemię, aż wreszcie dokopali się do litej skały, z której już trudno było cokolwiek uszczknąć. Choć niektórzy z właścicieli furmanek umieli zaledwie pisać i czytać, to liczyć i kantować nauczyli się doskonale.

Ciężka to była harówka dla ludzi i koni. Węglarze codziennie ładowali po kilka furmanek i niejednokrotnie na własnych plecach nosili ogromne kosze opału do piwnic. Konie, często mokre od potu, z pianą na pyskach, musiały ciągnąć przeciążone fury, czasem po grząskim błocie. Wtedy kopyta ślizgały się po śliskim podłożu i znać było pod skórą wszystkie mięśnie, jakże wyrobione od ciężkiej pracy, jak atletyczne w porównaniu ze smukłą budową ciała koni wierzchowych.

Furmani, ci prości ludzie, pracowali tak znojnie, że rzadko mieli zrozumienie dla swych czterokopytnych partnerów. Niejednokrotnie używali bata, a w niektórych, szczególnie

nietrzeźwych, wstępował szatan i dostawali amoku. Tłukli wtedy konie bez opamiętania i zdarzały się awantury z przechodniami stającymi w obronie zwierząt, a nawet interwencje milicji. Węglarze pili dużo i często. W ich twardych jak stal i wielkich łapskach musztardówka wyglądała jak kieliszek w ręku przeciętnego człowieka.

Pili, ale na drugi dzień przychodzili do pracy i jak gdyby nigdy nic, znowu machali swoimi wielkimi szuflami, znów taszczyli ogromne kosze węgla po stromych piwnicznych schodkach. Było w nich coś diabolicznego. Z czarnych od pyłu węglowego twarzy błyszczały białka przemęczonych oczu. Jednak choć to naprawdę twardzi ludzie, z natury nie byli źli, ich szorstkość wypływała nie z cech charakteru, raczej z ciężkich warunków egzystencji. Mieli swoją etykę zawodową i niepisane prawa tworzące kodeks honorowy. Spory między sobą rozstrzygali nie w sądzie, a w pojedynkach. Na baty. Takie pojedynki odbywały się w miejscach ustronnych, z dala od wścibskich oczu. Świadcami mogli być tylko inni węglarze.

Czasy się zmieniały. Z wolna zaczęła wkraczać nowoczesność i na składach pojawiły się pierwsze ciężarówki. Najpierw oczywiście państwowe Lubliny i Stary, które dowoziły węgiel do kotłowni. Choć tak samo, jak furmankę trzeba było naładować drewnianą skrzynię ciężarówki przy pomocy łopaty, to kierowcy patrzyli z góry na wozaków, dumni ze swoich maszyn.

Ciężarówka to było coś! I choć wozacy nie przyznawali się głośno, to jednak w głębi duszy zazdrościli zawadiackim szoferakom ich fantazji i szybkości, z jaką mogli jeździć. Co z tego, że ówczesne samochody ciężarowe miały słabe silniki i często zawodziły. Czasem przeciążone nie dawały sobie rady na stromych podjazdach, tonęły w błocie na kiepskich polskich drogach. Kiedy taka ciężarówka ugrzęzła, to dopiero była atrakcja dla młodych chłopców. Zbiegali się z okolicy, by popatrzeć, chętni do pomocy na każde skinienie dziarskiego szofera. Znosili kamienie, gruz, kawałki desek, aby tylko zdobyć uznanie pana kierowcy. Czasem koła długo i bezradnie

kręciły się w miejscu, bezskutecznie mieląc błoto. Wreszcie smyki nawrzucaли pod opony tyle różności, że samochód z wyciem silnika ruszał centymetr po centymetrze i osiągał twardy grunt. Wtedy kierowca zabierał w nagrodę dwóch, trzech urwisów do szoferki i wioził ich w stronę przeznaczenia ładunku. Radość była wielka. Wracali później dumni, przebywając pieszo nawet kilka kilometrów, ale warto było. Po takich emocjach umysły rozpałała wyobraźnia i każdy, gdy dorośnie, chciał zostać kierowcą. Furmanem nikt. Być może dlatego łobuziaki zaczęli naśmiewać się z woźniców i robić im najrozmaitsze psikusy. Kiedy wozacy znosili węgiel do piwnicy jakiś urwis potrafił naśladować głos furmana szorstko krzyknąć: „wio!”. I wtedy ciężka fura odjeżdżała kilkanaście metrów dalej, aż mądre koniska zorientowały się, że nikt nimi nie powozi. Nie pomagało przywiązywanie lejców do drzewa, bo zawsze można je było odwiązać. Ileż to razy węglarze ganiłi nicponi po podwórkach. Zawsze jednak z małym skutkiem, choć niejednemu łobuziakowi dostało się końcem bata po nogach.

Zdarzyło się kiedyś, że wozacy przywieźli węgiel pod umówiony adres, lecz nie zastali klientki. Zniecierpliwieni długim czekaniem pod blokiem przywiązywali lejce do słupa, koniom zaś dali owsa. Sami udali się na piwo do pobliskiej knajpy.

Całą scenę obserwował niejaki Jaśko Ulbricht. Był to wyjątkowy hultaj, który nie mógł przepuścić takiej okazji. W szkole nie błyszczał zbytnią pilnością i często powtarzał klasy, jednak umysł miał niezwykle twórczy. Do psot i kawałów. Jego szelmostwa znane były szeroko w okolicy.

Jasio spokojnie czekał na moment, kiedy nie było nikogo na podwórku. Wówczas bacznie rozglądając się na boki cicho podszedł do fury i odpiął jednego konia z zaprzęgu. Jak wprowadził tego perszerona na klatkę schodową, a następnie na drugie piętro bloku zamieszkałego przez kilkadziesiąt rodzin, tego już się nie dowiemy. Czy nikt nie słyszał walenia końskich, solidnie podkutych kopyt o betonowe schody?

Fakt pozostaje faktem, że ten wybryk Jasia urósł do miary anegdoty, a ta przeżyła swojego bohatera. Na tym historia się nie kończy, bo oto węglarze przyszli sprawdzić, czy jest już klientka. Odbiorczyni węgla jeszcze nie było, co gorsza stwierdzili brak konia. Dalejże biegać po podwórkach, rozpytywać ludzi. Wreszcie sam koń, słysząc znajome przekleństwa, zarżał głośno. Odgłos radosnego rżenia ze znacznej wysokości wprowadził wozaków w osłupienie i przerażenie.

Mimo przekleństw, jakich nie powstydziałaby się dzisiejsza, wychowywana bezstresowo młodzież, ciężkie konisko nie chciało ruszyć do tyłu ani na krok. Nie pomagały prośby, groźby i przekupstwo. Koń nie dał się skorumpować cukrem i połówką wiadra piwa. Wypił, bo lubił, ale nie chciał, bał się, a może nie mógł tyłem schodzić w dół. Koniec, kropka.

Przybyła na miejsce milicja spisała protokół i wezwała straż pożarną. Strażacy, nawykli do gaszenia pożarów, teraz bezradnie biegali po schodach. Zdarzało im się zdejmować wystraszzonego kota z drzewa. Ale ściągać podchmielonego konia z drugiego piętra?

Wreszcie wrócił z pracy lokator mieszkania, w stronę którego perszeron zwrócony był pyskiem. Życzliwy człowiek zgodził się na niecodzienną wizytę. Przeprowadzono więc rumaka przez przedpokój, gdzie kopytami pościągał chodnik, następnie duży pokój, w którym wraz z trzymającym go za uzdę wozakiem zrobił rundę naokoło stołu, a następnie tą samą drogą wyszli na klatkę schodową i dalej na parter.

W ciągu kilkugodzinnej akcji sprowadzania zwierzęcia koń nie zanieczyścił siedziby ludzkiej. Cuchnące moczem klatki schodowe, przystanki autobusowe, a nawet środki masowej komunikacji doprowadzają do smutnej refleksji, że koń bywa znacznie kulturalniejszy od człowieka.

Autorstwo: Cezary Piotr Tarkowski

Źródło: Wolna-Polska.pl